

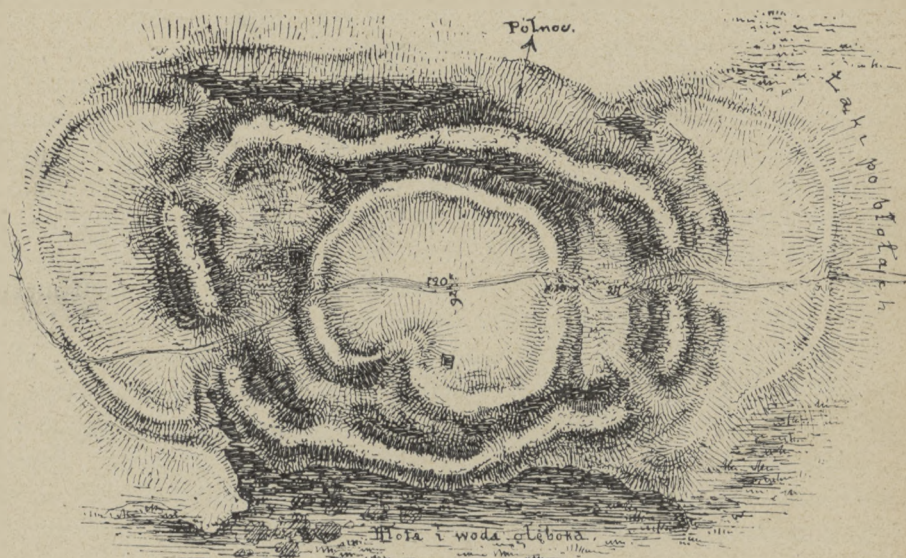


## GRODY PIASTOWSKIE.

Dzisiaj pod wyrazem gród rozumiemy miasto, zwłaszcza większe. Za doby Piastów, t. j. pięciowiekowego okresu panowania w Polsce tej dynastii z krwi i kości słowiańskiej, gród nie oznaczał miasta ale warownię, castellum, t. j. zwykle stromą górę lub wysoki wał eliptyczny otoczony wodą i bagnem, najeżony dokoła ostrogiem z kłoców dębowych, czyli tak zwaną grodzą, od której poszła nazwa grodu. Był to więc zamek, ale bez murów, ten gród piastowski z ziemi, kamieni i drzewa, które żeby oblegający wróg nie tak łatwo mógł podpalić, oblepiano grubo gliną.

Gród piastowski był ostoją dla okolicznych mieszkańców, którzy w razie napadu nieprzyjaciół żadnych łupu ukrywali w nim swoje rodziny, dobytek i mienie. A napady takie były chlebem powszednim w owej dobie. Najcenniejszym łupem był sam człowiek, pochwycony w niewolę do pracy przez drugiego człowieka, były niewiasty potrzebne na

matki i robotnice, bydło do uprawy roli i na mięso, wreszcie broń, ozdoby, odzież i tkaniny. Gdzie w dzikich puszczech było ludności mało i gdzie żywiła się ona przeważnie zwierzyzną, rybą i leśnym owocem, tam grody nie były potrzebne, brakło rąk do ich budowa-



OKOPY JADŻWINGÓW NA GRUNTACH WSI WŁODKI (na Podlasiu).

nia, obrony i nie miano co w nich chować; zresztą nieprzebyte gąszcze leśne zavalone przez burze łomami drzew, stanowiły najbezpieczniejsze schronisko. Tam jednak, gdzie Lechici rozradzając się, zaczęli lasy palić i wyrabiać na pola, gdzie mieli do przechowa-





nia bydło i zboże, a sami jako rolnicy stawali się nieocenionym łupem dla plemion leśnych, nieobeznanych z rolą, tam w każdej okolicy opolnej, choćby na pół rolniczej, do warunków bytu należało zbudowanie grodu.

Al-Bekri, geograf arabski z 11-go stulecia, opisujący Słowiańszczyznę i Lechię z relacji kupców zwiedzających te kraje, mówi wogóle o Słowianach z wieku 10 go, że gdy chcą zbudować gród warowny, „kierują się ku łąkom otoczonym wodami i trzciną, tam oznaczają miejsce okrągłe, albo czworokątne, wedle kształtu i rozmiarów, jakie chcą nadać grodu. Naokoło wykopują przekop, a ziemię z niego sypią na wał, utwierdzając ten wał deskami i palami (t. j. ostrokołem, ostrogiem), póki ściana nie dojdzie do zamierzonej wysokości. Odmierzają i bramę z dogodnej strony, a do niej podchodzi się po drewnianym moście“.

W wędrówkach moich po kraju, zwiedzając kilkadziesiąt nasypów ziemnych po grodach z doby Piastów, zawsze uprzytomniała mi się prawdziwość słów Al-Bekriego. Wały niekiedy potężne (jak np. pod wsią Niewiadomą na Podlasiu) i góry trudne jeszcze teraz do wejścia (jak np. w Wyszogrodzie), sterczą dotąd, a tylko fosy pozarastały i zwykle wyrównały się ziemią napływową i skutkiem zdeptywania przez bydło. Wszystkie grody starsze są prawie zawsze wydłużone eliptycznie z zastosowaniem do terenu, na którym je budowano. Góra bowiem czy pagór nadbrzeżny albo wśród błot położony, nie bywa prawie nigdy okrągły, więc i grodów okrągłych było niewiele, a tembardziej czworokątnych. Brama do grodu, której miejsce łatwo poznać dziś jeszcze po zniżonym łągowato wale, bywała czasem jedna, czasem dwie sobie przeciwległe.

Mieszko I i syn jego Bolesław Chrobry, wielcy twórcy państwowości polskiej, usiłowali uporządkować obronność grodową w całym kraju, a zwłaszcza na jego pograniczych. Siła rycerstwa, z jaką oni wystąpili, i mnogość grodów, wskazuje jasno, że Polska musiała już od kilku wieków posiadać społeczność rolniczą, która wymagała całego systemu grodów do obrony swego bytu. Piastowie zaprowadzali ten porządek, powiększając liczbę grodów pogranicznych. Długosz, który żyjąc w 15-ym wieku, czerpał wiado-

mości do dawniejszych dziejów z wielu takich źródeł, które dla nas zaginęły, a resztki grodów z doby piastowskiej oglądał jeszcze własnym okiem, powiada, że „Bolesław zamierzwszy położyć tamę napaściom od stron ościennych, niepokojącym Polskę po łotrowsku, pozakładał liczne na pograniczych grody i silnemi je załogami poosadzał, a na ich utrzymanie naznaczył coroczny dowóz żywności z wsi okolicznych, której każde sioło w stosownej mierze dostarczyć miało obowiązek. Tę daninę Polacy nazwali „stróżą“, ponieważ składana była wojsku stróżującemu granic od napaści“. Następnie Długosz dodaje, że Chrobry „zaprowadził zwyczaj, aby każdej nocy kolejno chłopci i osadnicy czuwali, a głośnym wołaniem i śpiewaniem dawali znać, że pilnie stróżują. Ta straż rozumnie obmyślana sprawiła, że pogranicza Polski czujnie ubezpieczone, nigdy od nieprzyjaciół nie mogły doznać niepostrzeżonej napaści“. Dalej nieco mówi jeszcze ten dziejopis, że Bolesław ustanowił, by każdy kmieć, posiadający jeden łan pola cały, dawał w daninie corocznej jeden korzec żyta, a drugi owsa, czystego ziarna, do najbliższego śpichrza królewskiego na odzież i wyżywienie dla wojska, które służyło w grodach pogranicznych. Daninę tę nazwano „stróżą“, ponieważ szła na straż zamków i królestwa“. Sam Bolesław rad przebywał nieraz w grodzie, który sobie postawił niedaleko Wiślicy nad rzeką Nidą, a który nazwano Chrobrzem. O wyprawie wielkiego króla w r. 1008 na Ruś, pisze Długosz, że Rusini nie mieli jeszcze wówczas miast warownych, a lubo niektóre z ich miast głównych miały już liczne zabudowania i dużo mieszkańców, całą wszakże ich obroną było położenie miejscowe albo wały i zasieki z drzewa. Wszystkie zatem miasta ruskie zdobywając omijał Bolesław grody, czas nade wszystko ważąc. Z powodu wyprawy Bolesława w r. 1015 do Prus, pisze Długosz, że w owe czasy ziemia pruska (na północ od Mazowsza położona), także nie miała prawie miast, a i te samem tylko położeniem, t. j. wodami i bagnami obrotne, a zamki wszystkie z drzewa były budowane. Plemiona litewskie różnej nazwy, ówczesną ziemię pruską, (na wschód od ujścia Wisły aż po Niemien) zamieszkujące, z kryjówek swoich leśnych między jeziorami i bagnami położo-



nich napadały ustawicznie na rolniczy lud polski w celu grabieży jego mienia i zabierania bezbronnych do niewoli, a stąd było nieodzowne zakładanie grodów od ściany północnej. Ruś najeżdżała rolniczą Polskę od wschodu. Kronikarze wspominają, że Jarosław w r. 1038 najechał Mazowsze dwiema drogami: lądem i wodą, tylko nie wymienią, czy szlakiem jego napadu był Bug czy San i Wisła. W każdym razie zakładano grody nad wszystkimi rzekami. Najwa-

żniejszą strażnicą nad Bugiem był gród na górze w Drohiczyńskim podlaskim, opanowywanym nieraz przez Ruś i przez napadające z północy plemię litewskie Jadźwingów, co później dało początek do bałamutnej tradycji, że Drohiczyn nadbrzeżny był stolicą Jadźwingów, gdy przecież żadne źródło dziejowe nie podaje, żeby Jadźwingowie leśni zamieszkiwali jakiekolwiek miasto albo mieli w niem stolicę.

(d. c. n.)

Zygmunt Gloger

# Z nad Atlantyku pod Alpy

śladem ludzkiej pracy dziejowej.

2

Krajobraz cały zmienia się nie do poznania. Fale się kłębią, rwą, ryczą, bryzgami wszystko oplukują, czego się im nie udało jeszcze zatopić; pianą obryzgują, co się jeszcze jakkolwiek trzyma i

nie ustępuje przed ich zwyciężskim natarciem. Szal ten trwa zaledwie kilkanaście minut (haute mer)... I wszystko powoli odzyskuje wygląd, jaki miało przed sześciu, mniej lub więcej, godzinami, (basse

mer); lecz tylko na to, by pod dwunastu z czemś znowu podległ takiemuż samemu szalowi tych samych wód. Takich zjawisk nie dostarczają w Europie morza śródziemne, ani Śródziemne, ani Bałtyckie

Przypływ morza nie tylko samego wybrzeża zmienia wygląd całkowity. Sięga on w głąb kraju na kilka kilometrów (6—8). Sprawiają to rzeki bretańskie. Spływając ze środka półwyspu, dążą na północ jego, zachód lub południe. Z konieczności krótkie, zaledwie kilkadziesiąt ki-

Rys. 1.







lometrów długości mające, najczęściej wąskie na parę metrów, zbliżając się do ujścia, prawie raptem, odrazu, rozszerzają się do kilkuset, nawet tysiąca metrów. Wciska się w nie bowiem woda Oceanu, znajdując w ich korytach miejsce dla siebie i zależnie od wytrzymałości brzegów koryta te rozszerza. I gdy wspinały Ren niknie na piaskach Hollandyi, nędzne rzeczulki bretańskie wpadają do Oceanu, tworząc zatoki i wyspy. Wprawdzie te wody są już obce, słone, oceanowe, to zaś wpadanie tylko pozorne. Przybiera ono charakter przemijającego, choć regularnie powtarzającego się zjawiska. Minie godzina, dwie przypływu, a w rzeczulce, w rozszerzonym korycie zaledwie sący się własna jej woda. W każdym jednakże razie fakt ten dziwnie urozmaica wybrzeża i potęguje zjawiska przypływu.

### Morbihan: Quiberon i Carnac.

Na południowym wybrzeżu Bretanii dwa półwyspki, Quiberon i Ruis, długości kilkunastu, szerokości kilku kilometrów, rozpościerając się w dwóch różnych kierunkach, pierwszy w południowym, drugi we wschodnim, tworzą dość obszerną, do czterdziestu kilometrów u wierzchołka szeroką zatokę. Zatoka ta składa się z dwóch części. Jedna—pomiędzy wschodnimi brzegami półwyspeku Quiberonu i zachodnimi Ruis nosi nazwę zatoki Quiberon. Druga—wrzynając się we wschodnim kierunku w ląd Bretanii, tworzy właśnie ów półwyspek Ruis i nosi nazwę Morbihan (patrz mapkę nr. 1).

#### I.

Nazwa ta jest wielce starożytna. Nadali ją jej Celtowie, najstarsi w dobie dziejowej i bezpośrednio przeddziejowej mieszkańcy Bretanii. Wyraz *mor* w języku tych Celtów oznaczał morze, *bihan*—mały. Nazwą tą określali stosunek swej zatoki, jako morza małego, do Oceanu, *mor-bras*, morza wielkiego. Ten sam wyraz *mor* brzmi też i w nazwie *Ar-mor*, Armoryka, pod jaką Bretania była znana Rzymianom i jaką nosiła do V w. naszej ery. Samo zaś *Ar* oznacza nad, przy. Więc stara nazwa Bretanii—Armoryka jest właściwie nazwą ściśle geograficzną, określającą jej położenie nadmorskie lub przymorskie, niby nasze Pomorze.

Morbihan, wchodząc w ląd, tworzy setki wysepiek. Liczą ich tyle, ile dni w roku. Z nich zaledwie 40 jest zamieszkałych. Nadto dziesiątek jakich nosi zaledwie słabe ślady kultury. Z zatoki Quiberon do Morbihanu wciska się woda przez kilometrową cieśninę. Przez koryto trzech drobnych rzeczulek, Auray, Vannes i Noyal, dostaje się woda Oceanu w głąb wybrzeża i dosięga miast, noszących także nazwy, nad temi rzekami leżących.

Nazwa części wschodniej zatoki, Morbihan, przeszła z czasem na kraj, ją otaczający. Przy podziale zaś administracyjnym całej Francyi, podczas wielkiej Rewolucyi, utrzymała się, jako nazwa ściśle geograficzna, pomimo jej brzmienia obcego, dla całego departamentu.

#### II.

Półwyspek Quiberon, będąc częścią Bretanii i mając z nią kształt jednaki, tylko w bardzo znacznem zmniejszeniu, przedstawia wszystkie cechy Bretanii, znamionujące ją jako całość odrębną Francyi. Brzegi jego skaliste, strome, wysokie, zwłaszcza od zachodu, tak samo są poprzecinane łąwami piaszczystymi. Tak samo na nie działają wody Oceanu. Przypływ ich takie same wywołuje zjawiska wogóle.

Północna półwyspu połowa, dotykająca lądu, szerokości w niektórych miejscach zaledwie kilkuset metrów, nawet nie jest zamieszkała. Południowa—dochodzi do 3—4 klm. szerokości. Idąc wzdłuż półwyspu do południowych jego krańców kolej żelazna tuż się z szosą spotyka.

Ponieważ Quiberon całą swą długością wchodzi w Ocean, niby umyślnie sporządzona w porcie długa tama (*môle*), i od wschodu tworzy zatokę (*Baie de Quiberon*), więc wody jego, opływające brzegi półwyspu dwojaki przybierają charakter. Od zachodu i południa, gdzie Ocean otwarty, dziki, jak nazywają tam (*mer sauvage*), posiadają potęgę niczem nieograniczoną i wciąż ją w piętrzących się falach nawet w godzinach odpływu wykazują. Od wschodu, w zatoce, już są spokojniejsze i tylko w godzinach przypływu dosięgają stałych wybrzeży lądu i samą zatokę całkowicie wypełniają.

Dwojaki charakter brzegów odbija się i na osiedleniu. Kupi się ono, choć w maleńkich osadach (*hameaux*), bardziej ku wschodnim niż zachodnim. Na występie rozszerzającego się lądu ku zachodowi, na brzegu północnym tego występu, wznosi się miasteczko Portivy na wschodnim, na ukos od niego ku południowi, St. Pierre; niżej o 5 kl. od tego inne, Port Haliguen. Największe atoli, niby stolica, noszące jak cały półwyspek nazwę Quiberon (przeszło 3000 m.) leży na południowym brzegu, w małej zatoczce, tuż nad portem Maria. Posiada ono najszerszą i najdłuższą łąwicę piaszczystą, służącą do kąpieli (*plage*). Port ten jest obszerniejszy i lepiej od innych urządzony. Z niego też się wypływa do sąsiedniej wyspy Belle Ile. W rozsianych po półwyspie osadach chyba nie więcej niż jaki tysiąc zamieszkuje ludzi (*Quiberonnais*). Co z mieszkańcami czterech wymienionych miasteczek wynosi do 8 tysięcy.

(c. d. n.)

Ig. Radliński

oooooooooooo



# Pierwsze schronisko.



POŚWIĘCENIE SCHRONISKA.

*Fot. L. Ostaszkowski.*

Gdy przemęczony całoroczną pracą młodzian wyruszy na wycieczkę po kraju, upoi go piękno natury, czar niw zielonych, szum sosnowego boru i zapach koszonych łąk. Wzmocni go jędrna kąpiel w kryształach rzek, a wolność i swoboda doda jego duszy orlich lotów.

Zdrów na ciele i duszy, rzeźwy i wesoły, brat przyrody i wypieszczony jej dziecień, padnie gdziekolwiek w stodole chłopskiej na wiązkę siana i upojony śpi tak smacznie i tak silnie, że można go przenieść na inne miejsce, można hałasować nad głową, a on ani drgnie.

Pieją gwałtownie koguty, ujadają psy, niemiłosiernie gęgają gęsi, skrzypią przeraźliwie wierzeje, w same oczy zagląda ciekawy złoty promień słoneczny, a on czasem tylko bezwiednym ruchem opędza się od much, obsiadających zdrowe, różowe policzki, a śpi dalej, śniąc bajeczne królestwa szczęścia, złote sny młodzieńcze, sny białych lilii i pąsowych róż.

Jakie zwiedza on kraje, jakie przedziwne spotyka przygody, jakie królowny ze szponów drapieżnych smoków wyswabadza, jakie stacza boje i do jakich wznosi się poświęceń, to jedynie fantastyczny splót sennych marzeń wypowiedzieć może, bo w języku żyjących niema na to słowa.

By takie osiąść królestwa na wiązce siana, trzeba mieć lat 19, głowę wolną od trosk, serce bijące falą miłości dla wszystkich, duszę prostą i anielską, szczerą i ufą, przeszłość dziecięcą, a przyszłość z barwnej zorzy tkaną.

Ale gdy niemiłosierne życie bezlitośnie zacznie obrywać barwne skrzydełka duszy, gdy jedno, drugie i dziesiąte rozczarowanie w głębokie bruzdy poorze czoło i skronie, gdy z goryczą patrzy się na świat, gdzie panuje bezprawie i krzywda, gdy

co krok zachodzi drogę troska своя lub cudza, wtedy i dusza i ciało cierpią i rozstrajają się, wiązka siana staje się męką, która odstrasza turystę od zamierzonej wyprawy i pędzi go za granice kraju, bo tam wygody jego i nawyknienia będą obsłużone i zaspokojone tanio, grzecznie i uprzemnie.

Zupełnie niemożna się dziwić, ani też mieć pretensyi, że poważniejsi i zmęczeni życiem i walką ludzie nie decydują się na trudy i niewygody podróży po kraju, że lękają się jej i uchylają od niej, pobłażliwie zachęcając do niej młodzież, ale trzymając się od samego ruchu wycieczkowego zdaleka.

Jest w tem może przesadna obawa i zbyt wielka o siebie troskliwość, boć są pojedyncze wypadki, że matka dorosłych dzieci potrafi razem z niemi przejść 6 mil w ciągu jednego dnia piechotą i wypaść się w stodole na sianie, a na drugi dzień ruszać dalej znów kilka mil drogi. Takim kobietom głęboki należy się szacunek i cześć, ale też bardzo niewiele znajduje się ich w kraju i stanowią one niestety rzadkie, wyjątkowe istoty.

Naogół jednak starszy człek na propozycję wycieczki zwykle najpierw pyta: „no dobrze, ale czy tam dostanie co zjeść, czy tam jest się gdzie przespać?” Gdzie ukazują się potrzeby, tam też zaraz znajdują się i przedsiębiorcy, by te potrzeby zaspokoić. Gdzie zjawiają się turyści—ciągną tam za nimi hotelarze. Taki proces przeszła Szwajcaria, jeziora włoskie, Tyrol, Sudety, brzegi Renu, Karpaty, a i Tatry tak po polskiej, jako też i po węgierskiej stronie posiadają już wygodne hotele i gospody dla strudzonych turystów, a gdzie nie sięga chciwość hotelarza, tam jeszcze zjawia się inicjatywa korporacji, która ukochała teren swej pracy i dokłada starań, aby ludzi do niego przynęcić, pobyt im ułatwić, do częstych i licznych wycieczek zachęcić.

Jakkolwiek nasz kraj ze stu powodów wlecze się na ogonie cywilizacji zachodniej, lecz rozwijająca się turystyka pobudziła ospałe umysły drobnych przedsiębiorców i pobudowali oni hotele i gospody, gdzie za dość drogie pieniądze ma gość zapewnioną sporą ilość wszelkich niewygód i nieprzyjemności. Aleć zawsze ma dach nad głową, szklankę mętnej herbaty i talerz rosołu, w którym niezawsze znajduje nogi i wasy nieboszczyków prusaków, bo rosół bywa czasami cedzony.

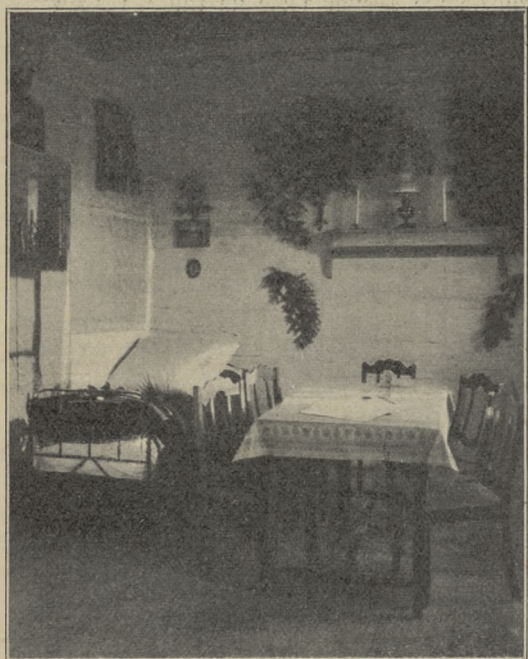
W ten sposób zapewniony ma wędrownik spoczynek w Kazimierzu, Ojcowie, Nowej Słupi, Płocku lub Łowiczu. Może przespać się w hotelach





Sandomierza, Lublina lub Puław, ma dach nad głową w Kielcach i Częstochowie, da sobie radę we Włocławku, Ciechanowie, Kaliszu lub Sieradzu.

Ale był jeden punkt kraju, punkt bardzo ciekawy, lecz wprost niemożliwy do zatrzymania się, a tym było podnóże Łysicy, gdzie w ubogiej wiosce Świętej Katarzynie turysta nie mógł znaleźć noclegu, chyba na mokrem sianie w stodole, lub w dusznej izbie z całą rodziną gospodarzy, którzy bardzo byli gościnni i serdeczni, ale ani sami nie znali wygod, ani też nie mogli dostarczyć ich turystom.



WNĘTRZE SCHRONISKA.

Fot. L. Ostaszewski.

A przecież jest to podnóże najwyższej góry w kraju, góry okrytej cudnym jodłowym lasem, góry otoczonej wieńcem legend i baśni, klechd i podań ludowych. Ze zboczy jej płyną źródlane wody, okrywa ją płaszcz malinowych krzewów, piętrzą się kwarcytowe łany gołoborzy. Już zdala rysują się granitowe zwały, a w chmurny dzień Łysica czub swój otula welonem mgieł i chmur. Cudny to kąt ziemi naszej i wart zwiedzenia.

Popularne wycieczki nasze kierują się zwykle z Kielc na Łysą Górę, do klasztoru Świętokrzyskiego, nocują w Słupi Nowej, a wracając na Wierzbnik, pomijają zupełnie Łysicę i klasztor Świętej Katarzyny. A przecież góra Świętokrzyska nawet równać się nie może co do malowniczości i efektu z Łysicą.

Jest jeden powód ważny, który taki kierunek nadał wycieczkom, a mianowicie duży kawał szosy z Kielc na Świętą Krzyż, który jest w tem

szczęśliwem położeniu, że ma wielkie więzienie a na te cele państwo nie skąpi wydatków i dla wygody zarządu więzienia usypano dobrą szosę. Ale i do Św. Katarzyny przez dwie trzecie drogi jest szosa, a następnie wcale nienajgorszy trakt na Krajno, gdzie po drodze można jeszcze skrócić podróż, przechodząc kawałki bocznymi ścieżkami.

Otóż, aby ułatwić turystom pobyt pod Łysicą, Towarzystwo Krajoznawcze postanowiło tam właśnie zakrzętnąć się koło utworzenia Schroniska dla wędrowników. Przewodnik przez grzbiet Łysogórski, Andrzej Janicki, zamierzał budować nową chatę. Towarzystwo weszło z nim w porozumienie, aby w niej jedna izba przeznaczoną była na Schronisko dla turystów, na co obie strony zgodziły się i oto dziś chata już pod dachem, izba schroniskowa już gotowa, umeblowana, oczekuje na podróżnych.

W Niedzielę 28 Sierpnia odbyło się uroczyste poświęcenie Schroniska. Na akt ten przybyli do Świętej Katarzyny z Warszawy p. p. Rakowiecki, Ostaszewski i niżej podpisany, z Kielc p. p. Włoszek, Markowski jako delegaci Oddziału Kieleckiego, p. Magnus Członek Zarządu Oddziału Suchedniowskiego, p. Konarski Członek korespondent z Jeleniowa, wycieczka z Kielc, złożona z 16 osób, członkini towarzystwa z Warszawy p. Goebel z rodziną; ogółem zebrało się około 40 osób ze sfer krajoznawczych, a nadto asystowali przy akcie poświęcenia liczni włościanie sąsiedzi.

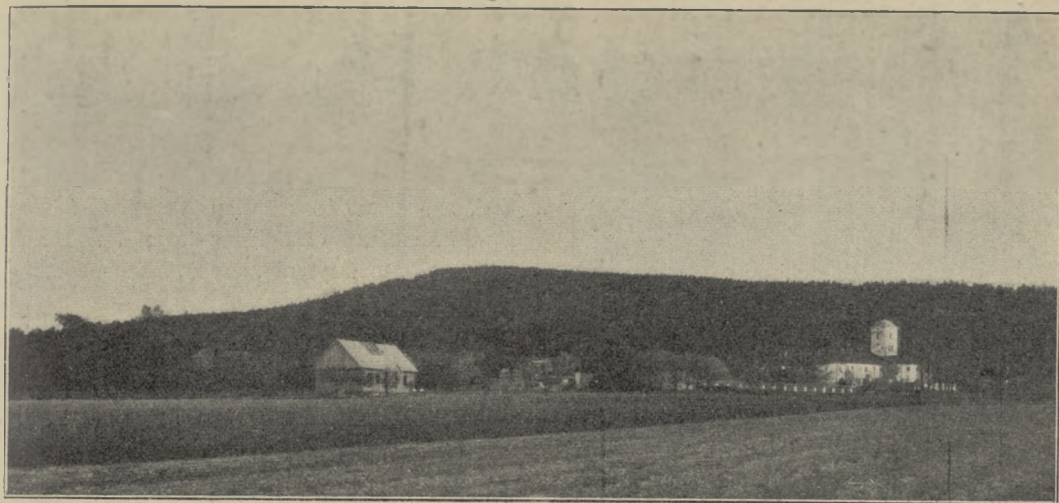
Chata Janickiego cała była udekorowana zieloną gałęzi jodłowych i wieńców z dębiny, a nad domkiem widniały litery Towarzystwa P. T. K. Całą tę dekorację urządziła bawiąca o milę stąd na lotnisku rodzina p. Goebłów. Wejście do Schroniska zagradzała zielona wstęga.

O godzinie 1 po południu nadszedł celebrians uroczystości, kapelan miejscowego klasztoru, ks. Antoni Nowina Jankowski, którego uprzednio już Towarzystwo prosiło o dokonanie aktu poświęcenia. Wtedy niżej podpisany przemówił w imieniu Towarzystwa o konieczności takiego Schroniska w tym punkcie kraju i poprosił p. sędzinę Markowską z Kielc o przecięcie wstęgi i ks. kapelana o poświęcenie nowej placówki krajoznawczej.

Po przecięciu zagradzającej wejście wstęgi ks. Jankowski odprawił modły i całe schronisko, oraz obecnych, pokropił wodą święconą, a ponieważ przy ceremonii poświęcenia musi być obrany Patron dla Schroniska, więc zebrani zdecydowali obrać na patronkę Świętą Katarzynę, której imię nosi i wioska i klasztor i góra.

Po ukończeniu ceremonii kościelnej ksiądz Jankowski zwrócił się do zebranych z bardzo serdecznym przemówieniem, wskazując cele Towarzystwa, wspominając bolesną stratę poniesioną przez śmierć prezesa, życząc rozwoju Schronisku i po-





OGÓLNY WIDOK SCHRONISKA.

Fot. R. Cholewiński.

wodzenia dla prac krajoznawczych. Bardzo subtelnie wielbny mówca nawiązał swe przemówienie do liter Towarzystwa P. T. K., tłumacząc ich znaczenie w ten sposób: „poznać—to kochać“, i zachęcał do poznawania kraju, by go tem silniej miłować, a cały swój trud i czas przy uroczystej ceremonii ksiądz kapelan złożył jako swój dar dla Towarzystwa.

Następnie niżej podpisany dziękował mówcy za jego życzliwość i odczucie celów Towarzystwa, dziękował zebrany za zgromadzenie się na uroczystość, a całe schronisko oddał pod opiekę zebranych, jako wspólną własność, prosząc o patronat i dozór Oddział Kielecki, jako najbliższy i jako gospodarza krajoznawczego na tej ziemi Kieleckiej. Na zakończenie zaproszono zebranych o podpisanie się w pamiątkowej księdze schroniska. W księdze tej obok podpisów Członków towarzystwa i gości zostały też podpisy włościan miejscowych, nie brak też i krzyżów, stawianych ręką niepiśmiennych.

Nareszcie wejść można do schroniska: niezbyt duża to izba o dwóch oknach czysto wybielona z pułapem z belek. Na środku duży stół z 2 szufladami, obok sześć krzeseł. Przy drzwiach duża szafa do rzeczy, a po drugiej stronie umywalnia. Dwa dobrze zasłane łóżka stoją przy bocznych ścianach, a duży parawan może jedno z nich odgrodzić od reszty pokoju. Wieszało z półeczką i kołkami, na półeczce lampa i dwa lichtarze, a nad umywalką lustro kończą umeblowanie. Na ścianach „Panna Święta, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie“. Duża mapa sztabowa okolicy Łysogórskiej, kilka ładnych fotografii okolicznych i wycinanek łowickich stanowią dekorację pokoju, a na środkowej ścianie nad wieszadłem miejsce jeszcze wolne, bo tam zawieszony będzie Matejkowski Grunwald, wszak to rok jubileuszu,

a przed ruszeniem w pochód Jagiełło był w Łysogórach i w klasztorze Świętokrzyskim.

Obecnie więc dla dwóch osób jest zupełnie wygodne miejsce do noclegu. Zapewne zmartwią się tem prosiaki, które parę lat temu wyciągały mi siano z pod głowy, gdy nocowałem w Świętej Katarzynie. To właśnie powinno być odpowiedzią dla jednego z obecnych na uroczystości, który mówił: „po co otwierać schronisko tam, gdzie ludzie mieszkają?“

W czasie uroczystości robił fotograficzne zdjęcia p. Leon Ostaszewski na piramidzie stołków, bo trójnóg naturalnie „z wozu na ziemię wylata“ i dopiero wieczorem przez uczciwych żydków był oddany.

Po uroczystości poświęcenia i spożyciu posiłku zebrani udali się na szczyt Łysicy, a po powrocie zaproszono gości na herbatę przez Towarzystwo Krajoznawcze urządzoną.

Dobrze już chyliło się słońce ku zachodowi, gdy ruszyły wozy wycieczki z powrotem do Kielc. Dzień cały i wieczór były cudowne w spokoju zbliżającej się jesieni. Siniała granatem poważna Łysica, a u stóp jej białał nowy gontowy dach chaty Jędrzejowej, pod którym zostały litery P.T.K.

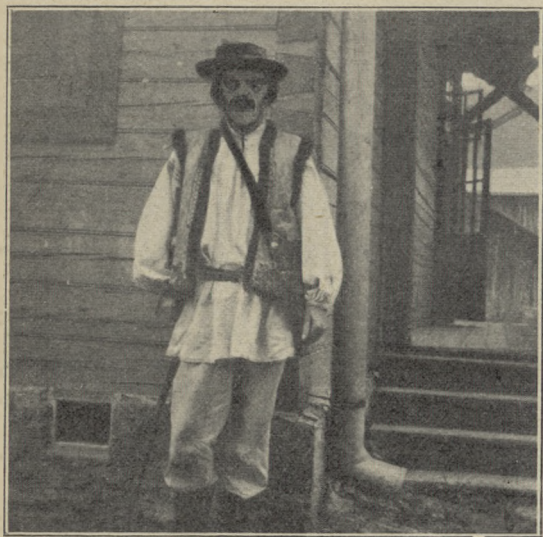
Schronisko tak potrzebne w tem miejscu nie byłoby jeszcze otwarte w tym roku, gdyby nie troskliwe, pełne poświęceń zabiegi osób życzliwych Towarzystwu i szczerze jego ideami przejętych. To też w imieniu Zarządu wysłane zostały podziękowania za pracę i życzliwość Oddziałowi Kieleckiemu, rodzinie Goebłów, p. Lenartowiczowej w Kielcach, a za gorące słowa i dar dla Towarzystwa księdzu kapelanowi Jankowskiemu.

Nasze pierwsze schronisko jest śliczne i wygodne, a kto nie wierzy, niech pojedzie i przekona się na miejscu.

Al. Janowski.



# U źródeł Prutu.



HUCUŁ.

Fot. H. Galle.

Do najmniej uczęszczanych, a bogatych w krajobrazy niepospolitej krasy miejscowości górskich w naszym kraju, przeważnie nizinnym, należy pasmo Czarnohory w Beskidach wschodnich. Najwyższymi szczytami, Howerlą (2058 metrów), Dacerem (1822 m.), Turkułem (1955 m.), leży ono na linii granicznej między Galicyą a Węgrami, a zarazem stanowi dział wód pomiędzy Cisą a Prutem.

Byłem u samych źródeł, nikłych i prawie nieznacznych, tej pięknej rzeki podkarpackiej. Po między Howerlą a Breskutem, osłonięta od południo-zachodu grzbieciem, łączącym te dwa szczyty jakby mostem olbrzymim, ścięła się na łagodnym stoku piękna kotlina, okryta miękkim kobiercem puszystej trawy. W jasnej zieleni murawy iskrzą się srebrne niteczki potoczków, które nieco dalej, u stóp połoniny, spływają się i wiążą w wąską jeszcze wstążkę niewielkiej rzeczki, która od tej chwili otrzymuje miano Prutu.

Jest tych potoków sześć, a niosą one wody niemało. Bo oto już u stóp Howerli Prut tworzy wcale piękny, do wielkiej Siklawy tatrzańskiej zbliżony wodospad. Stajemy na odłame głazu, nawprost wylotu kaskady, jakby oko w oko z groźnym, potężnym wrogiem. Ze skalistego gardła mkną fale za falami, lecą w przepaść, rwą się w szmaty na kamieniach i progach, znów spływają w jednolitą taśmę wód, pienią się i parszają i ryczą, jak rozjuszony zwierzę!

I widziałem Prut poniżej, w splecionej gęstwie lasu, zwanego Zaroślakiem, jak z trudem przebija sobie łożysko poprzez zawały pni, gałęzi, gła-

zów i korzeni, jak rozwidła się na pomniejsze potoki, aż, wzmożony kilku strumieniami leśnymi: Foreszczenką, trzema Hawrylcami i Ardżeluzą, bystrym nurtem popłynie, żłobiąc sobie coraz głębsze i coraz szersze koryto.

Potoków coraz przybywa. Pod Worochtą Prut jest już poważną, stateczną rzeką, a w czasie powodzi w ostatnich dniach lipca, kiedy, spieniony i mętny, toczył szerokie swe fale, grożąc zagładą nadbrzeżnym chatom, zalewając łąki i pola, bijąc zażarcie w drewniane filary mostów, rozszarpując w kawały kładki, straszny był, a zarazem czarowny w swym majestacie potęgi żywiołowej.

W Worochcie, malowniczej wsi huculskiej, pełnej dworców i will, zamieszkaną przez letników ze Lwowa, Stanisławowa, Kołomyi i innych miast wschodnio-galicyjskich, Prut po raz pierwszy ulega wszechwładzy człowieka, kornie zginając przed nią kolano: spotyka linię kolejową, biegnącą w licznych zakrętach z węgierskiego Kőrösmező do Stanisławowa, i widzi sunące ponad jego falami po wspaniałych kamiennych wiaduktach pociągi, głoszące podbój natury przez rozum ludzki.

Ale czasem buntuje się, gryzie wędzidło, jak szlachetny rumak: tu plant podmywa, tu strąca góry głazów i ziemi na tor i miażdży szyny, łamie, jak słomki, słupy telegraficzne... Walka trwa, ale koniec jej wiadomy...

Piękna jest dolina Pruta między Worochtą a Tartarowem! Linia kolejowa, rzeka i droga piesza wiją się tu węzem, niemal równolegle, wciśnięte pomiędzy stoki Magury z zachodu, a podnóża Re-



KOŚCIÓŁ KATOLICKI I WILLA KSIĘŻY  
w Worochcie.

Fot. H. Galle.



browacza i Grzebienia ze strony wschodniej. Czasem dolina zwęża się tak, że idzie się tuż pod ścianą skalną, z której osypują się okruchy, zasłaniając drogę. Ale to dodaje jeszcze uroku temu cudownemu zakątkowi.

Za Tartarowem, najbliższej od Worochty w stronę Stanisławowa stacyi kolejowej, nowe widoki. Na lewo, z poza pokrytej gęsto świerkami Baraniej góry wyłania się kopulasty, błyszczący jasną zielenią traw i kosodrzewiny szczyt Chomiaka, a za nim sterczą wyższe jeszcze wirchy: Sennik i Doboczanka; na prawo—w równych, jakby odmierzonych odstępach wznoszą się bliźniaczo do siebie podobne stożki Liszniowego grzbietu.

Jeszcze kilka kilometrów, a jesteśmy w obszernej, na wielkiej przestrzeni rozrzuconej osadzie góralskiej, ze stacją kolejową, Mikuliczynie. Prut rozgałęzia się tu na liczne odnogi, przez które



DZWONNICA przy cerkiewce w Mikuliczynie.

*Fot. H. Galle.*



ŹRÓDŁA PRUTU POD HOWERŁĄ.

*Fot. H. Galle.*

przerzucono dziwaczne mosty, o wysokich, jednolitych burtach; podobne mosty widnieją na ramionach znacznego potoku, Połonicy Prutca, który tu właśnie dopływa do Prutu.

Dolina poniżej Mikuliczyna, pomiędzy odnogami Jawornika-Gorgana i Klewy, podobnie jak wąwóz u stóp Magury i Rebrowacza, należy do najbardziej malowniczych. Rzeka wiję się w uroczych przegubach, szumiąc i pieniać się po głazach, obramowana bujną zielonością połonin i lasów. Tu widnieją rozsypane po dolinach i pagórkach chaty huculskiej wsi Jamny, tam, za zakrętem, wygląda ciekawie z za drzew maleńka cerkiewka drewniana, a tam dalej, za Jamną, rzuca się z wysokości kilkupiętrowej wodospad, zwany Kapliwcem, tem osobliwszy, że, jak niektóre alpejskie, spływa nie zygzakiem, z progu na próg, lecz prostopadłe, po nagiej, wyglądownej nieustanną pracą fal skale.

Idziemy starannie utrzymanym gościńcem rządowym, którego utorowanie poprzez skały i jary kosztowało podobno wiele trudów i niebezpieczeństw. Jeden z głazów przydrożnych uwiecznia w języku niemieckim pamięć starosty Krattera, którego staraniem dokonano tej pracy. Panujący tu mrok nie pozwala nam zrobić zdjęć fotograficznych, czego jednak nie żałujemy wobec licznych napisów w różnych językach, którymi upstrzyli kamień żądni nieśmiertelności turyści. Nieciekawi ludzie, nieciekawe imiona!

Nie traćmy czasu. Bo oto wkrótce staniemy w jednym z najpiękniejszych zakątków doliny Prutu. Rzeka błyszczy w słońcu, miecie miryady iskiei, mknąc wartko dnem głębokiej kotliny, na tle lasów świerkowych, wznoszących się regularny-



DROGA z WOROCHTY DO TARTAROWA

*Fot. H. Galle.*



mi tarasami na stokach Bahrowca, w którego wnętrzu ginie tor kolejowy w długim 724 metry tunelu.

Oto i wylot tunelu, czarna, okopcona jama, a obok odłam głazu z krzyżem kamiennym na szczycie, nagrobek, wedle podań huculskich, słynnego w XVIII wieku wodza opryszków, Dobosza, czyli Doboszuka, którego pamięć nie zginęła jeszcze wśród ludu tutejszego. Są też, niedaleko stąd, t. zw. „skały Dobosza“, wąskie, ciemne jaskinie, w których ukrywał się on podobno ze swoimi towarzyszami; niestety, nie udało nam się dotrzeć do nich z powodu roztopów.

Oto jesteśmy już w Jaremczu, ulubionem letnisku Lwowian, o czym świadczą liczne wille i pensjonaty, a także zasobniejsze już, niż w Worochcie i Tartarowie, sklepy, nawet księgarnia z wypożyczalnią książek. Jaremcze leży daleko od głównego pasma Czarnohory, wymarzonego celu wycieczek, ale ma ładne spacerdy, malownicze widoki, a nawet osobliwości: most na Prucie i wodospad.

I jedno, i drugie warto zobaczyć, co jest tem łatwiejsze, że można to skutecznie za jedną drogą. Most rzeczywiście wspaniały, na kamiennych słupach, jak wszystkie mosty i wiadukty na Pokuciu, o śmiałym łuku, wdzięczną linią zwieszającym się ponad nurtem rzeki, prawdziwa chluba inżynierii galicyjskiej, która z dumą twierdzi, że takiego mostu niemasz w całej Europie.

Wodospad Prutu pod Jaremczem widziałem w dzień największego przyboru wód — i obraz ten

na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Zaledwie zesłiśmy z gościńca, a minawszy kładkę na potoku Żonce, wstąpiliśmy na grząską steczkę nadbrzeżną; oczom naszym przedstawił się widok porwujący. Na Prucie, jak na morzu, piętrzą się istne góry wodne, bielejąc grzywą pian, rycząc i przewalając się, jakgdyby w walce śmiertelnej...

Idźmy dalej. Zstąpmy aż na sam brzeg rzeki, stańmy na krawędzi skalnej, którą łakomie liże pomrukująca groźnie fala, zajrzyjmy w samo gardło wodospadowi. Nie jest on wysoki, ale przy dzisiejszem wezbraniu wód zachwyca i przeraża.

Przygotowujemy aparaty fotograficzne. Niestety! słońce za chmurą, nie chce użyć nam ni jednego promyka. Stoimy bezradni nad przepaścią wód.

Wtem — nowa, gwałtowniejsza fala rzuca się nam pod nogi, jakby zmyć nas chciała z nadbrzeżu. Towarzyszka moja cofa się z okrzykiem trwogi: a nuż woda odetnie nam odwrót?

Ale nie! wytrwajmy na stanowisku do końca. Bo oto jeszcze chwila, a słońce wysunie się z poza obłoków i zajaśnieje całem morzem blasków na łyskiej powierzchni progu wodnego... Przecudowny widok!

Wprawiamy w ruch migawki aparatów, by uwiecznić tę jedyną chwilę, w tym dniu pochmurnym, a pełnym grozy.

Nazajutrz wody opadły, a po kilku dniach przez całą szerokość Prutu pod Worochtą brodziły dzieci z głośnymi okrzykami radości.

*Henryk Galle.*

Worochta, w sierpniu 1908 r.



## Sven Hedin w Tybecie.

181

27 marca o wczesnej porannej porze nastąpił odjazd z Szigatse. Po raz ostatni zaniósł Muhammed Iza od Hedina taszy-lamie wyrazy czci i pożegnania, przynosząc z powrotem jako dar wielką chustkę jedwabną; po raz ostatni błysnęły złożone dachy klasztoru, zasuwając się za potężne mury Dsongu. A wnet za murami miasta, w dolinie Tsangpo, wzięła karawanę w swoje twarde i mocne objęcia rozszalała wichura, przypominająca uprzednie przez pustynię wędrówki. Wzburzone do dna rzeki fale piętrzyły się chwilami tak wysoko, że znikwały linie drugiego brzegu; usta pełne były piasku, który zgrzytał między zębami, nadlatując w olbrzymich, wirujących słupach ciemno-żółtej, ponurej barwy.

Ze zwierząt zabranych z Leh już tylko dwa konie i jeden muł szły luzem za karawaną; do dźwigania ciężarów i do jazdy trzeba było bądź kupić, bądź wynająć inne, mniej bliskie śmierci. Zato liczbę ludzi powiększyło czterech ludzi eskorty, mającej ułatwiać podróżnikowi drogę, a właściwie pilnować, żeby od ściśle wyznaczonej marszruty nie było odstępstw. Stosunki te zresztą zapowiadały się nienajgorzej, biorąc pod uwagę uczynność i uступliwość tych panów, a także w nienajmniejszej mierze ich dobry humor, źródłem którego było chowanie całych danych im na koszty podróży dyet do kieszeni.

A natomiast dzięki ich towarzystwu, dzięki też temu, że niejeden w mieszkańców okolicy, przez





MOST WISZĄCY NA BRAMAPUTRZE.

które jechano, widział cudzoziemca w zażyłej poufałości z jego świętobliwością, nie było żadnego kłopotu z zapasami, z pomocą, jakiej kiedy niekiedy trzeba było wymagać, z oglądaniem zresztą świątyń i klasztorów, które w wielkiej ilości rozsiane były wzdłuż drogi.

Było zaś ich wszelkiego rodzaju i wszelkich rozmiarów istotnie mnóstwo. Jedne, jak mały, nędzny klaszorek mniszek z Gandön-Czöding, liść poprostu budziły swoją nędzą i opuszczeniem; inne, jak potężne klasztory w Tarting-gumpe, albo Taszy-gembe, nieustępowały pod niektórymi względami głównemu gniazdu w Taszy-lunpo. To też w przelotnym bodajby rzucie oka miał ciekawy podróżnik niejedną sposobność dopełnić studia z rezydencji taszy-lamy niejednym nowym a barwnym rysem.

Tak np. w Tarting-gumpe, który ma nawiasem mówiąc najwspanialszą salę o 48 kolumnach, jaką Hedin widział dotychczas w Tybecie, przyszła karawana akurat na drugi dzień po śmierci jednego z najstarszych i najznakomitszych lamów. Wprawdzie prośbie Hedina, który chciał zmarłego obejrzeć, odmówiono na razie, ponieważ widok obcego przeszkodziłby lamom odprawiającym modły nad ciałem, ale to się później jakoś dało ułożyć i drzwi od celi, w której leżał nieboszczyk, stanęły otworem.

Celka ta była niezbyt obszernym pokojem, z podpartym na słupie sufitem i z taką masą świętych naczyń, posążków bóstw, ksiąg i sztandarów, że raczej jakiemś muzeum niż pokojowi mieszkalnemu była podobna. Na sofie pod oknem, tyłem zwrócony do światła dziennego, siedział z podgiętymi pod siebie nogami zmarły lama, przybrany w szaty o wielce barwnych kolorach i z twarzą zasłoniętą cienką chusteczką. Na głowie miał coś w rodzaju korony z papieru; przed nim stał na łóżku mały stoliczek z posążkami bóstw i dwiema niskimi świecami. Czterech starych mnichów czytało ze świętych ksiąg modlitwy za zmarłego, co niebyło rzeczą zbyt łatwą, wzięwszy pod uwagę, że czas odprawiania modłów winien trwać bez przerwy trzy razy po dwadzieścia cztery godziny. Tuż zaś obok w czarnym namiocie na dziedzińcu dwóch mężczyzn i jedna kobieta zajęci byli stru-


ganiem setek dwustopowej długości kawałków drzewa, na których wypisywano święte sentencje i symbole, a z których miał być ułożony stos dla spalania na nim zwłok świętobliwego (dla zasług bowiem i pobożności miano go spalić

na stosie zamiast poddać zwykłemu ćwiartowaniu). Równocześnie stary sługa odbijał czerwonym tuszem na 700 skrawkach białego papieru nabożne formuły i modlitwy, również do spalania razem ze zmarłym przeznaczone.

Mimowoli zwracała się myśl ku długiemu, z trudem pamięcią ludzką obejmowanemu okresowi czasu, który zmarły lama spędził tutaj w klasztorze—75 lat! Jako drobne, pięcioletnie chłopię wszedł do zaklętych murów, zrywając ze światem, z rodziną, z małymi, codziennymi radościami, będącymi udziałem zwykłego śmiertelnika. Nie mógł się spodziewać niczego, chyba dźwignięcia się stopniem wyżej po twardej i suchej drabinie hierarchii zakonnej, chyba posunięcia się krokiem naprzód po ciemnej i ciernistej ścieżce udoskonalenia wewnętrznego, osiąganego przez studia nad jedną z 343 olbrzymich ksiąg biblii tybetańskich. Trzebaby całej, olbrzymiej karawany, żeby przenieść ciężar takiego stosu mądrości; trzeba długiego, w jednym tylko kierunku wytężonego życia, żeby się połapać w finezyach i symbolach, nagromadzonych tam przez stulecia. I przez ten długi, niemal nieskończony szereg lat nie słyszeć, jeno cichy dźwięk dzwonów klasztornych, kołyszanych przez wiatr; nie patrzeć, jeno na tajemniczo zamyślane oblicza bóstw, ginące w pomroku ciemnych krypt i świątyń.

Ale nie zawsze i nie w każdym klasztorze takie melancholijne myśli nasuwają się widzowi. Wielki, wspaniały klasztor Taszy-gembe, każe się raczej dla świetności swojej i bogactw podziwiać, niżliby miał przypominać o setkach istnień i żyć ludzkich, które tu w jego murach już zwiędły. Co do smaku i czystości przewyższa on nawet Taszy-lunpo. Sale oświecone są licznymi oknami, przez które południowe słońce rzuca swe wesołe promienie pomiędzy filary, wywołując tem czarodziejską grę światła i cieni i zachwycające przelewanie się barw od złota do czerwieni. Kilku mnichów siedzi na sofach rozmawiając z eskortą; czerwoni na tle również czerwonym, zlewają się z niem przedziwnie, tylko ciemniejsze, pysznie modelowane twarze odrzynają się wyraziście. Inni o pozach rzymskich senatorów wspierają się w milczeniu o słupy, albo cicho, bezgłośnie, jak cienie snują się po zachodzących w głęboki cień gale-





ryach. A jeśli czasem natrafiają promienie słoneczne na złote szaty Buddy, albo na pyszne liście złotych lotosów na podstawie posągu i rozprysną się na wszystkie strony, zdaje się, że cała sala pełna jest płynnego, subtelnego ponad wszystko co sobie można wyobrazić światła, od którego ciężkie, masywne kolumny wydają się być zbudowane z przezroczystych rubinów. Zdaje się chwilami, że się jest nie w tajemniczej tybetańskiej świątyni, ale w jakiejś czarodziejskiej grocie króla gór. I trzeba dopiero, żeby słońce z okien sali uciekło, żeby pogasły przedziwne światła a świetne rubiny przekształciły się na czerwono-lakierowane drzewo, aż zapomni się o czarach w towarzystwie uprzejmych i gościnnych mnichów, częstujących herbatą i pieczywem; tylko górą jak przedtem wznosi się zagadkowo uśmiechnięty Sakya-Muni (Budda), dobrośliwy syn królewski, który się dla ludzkości poświęcił.

A dla większej antytezy u stóp dumnego klasztoru można znaleźć 80-letniego ślepcę, który tu już razem ze swym zgłodniałym psem lata całe przepędza, sam z głodu i nędzy zdychający w oczekiwaniu wyzwolenia do lepszego bytu.

Ale tymczasem zapada już zmierzch i czas w drogę dalej, wzdłuż Tsangpo, szerokiego w tym miejscu około 50 metrów i opadłego z wód, które dopiero za kilka miesięcy, po stopieniu śniegów w górach osiągną najwyższego stanu. W pobliżu na stromym tarasie nad rzeką rozłożyła się wioska Pusum, z której widać jak na dłoni jutrzejszą drogę i wznoszący się na przeciwnym brzegu, jak nadreński zamek, klasztor Pinsoling. Pomiedzy dwoma brzegami zbudowano z ogromnych bloków granitu, o metrowej niekiedy średnicy, most wiszący, który już wprawdzie od trzech lat nie jest używany, ale też którego czasu budowy nikt nie jest w stanie sobie przypomnieć. Składają się na niego dwie olbrzymie piramidy po brzegach i dwie mniejsze pośrodku rzeki, pomiędzy którymi rozciągnięto grube łańcuchy z przeplecionymi z powrozów matami; całość mało zapewne na nasz gust wygodna, ale lepsza niż wędrowanie o kilka mil w górę rzeki, gdzie znajduje się przewóz. Trzeba zaś pamiętać, że nawet w najtwardszą zimę woda w Tsangpo (Brama-putrze) nie zamarza nigdy doszczętnie, pozostawiając pośrodku dość szerokie przerwy i że rzeka dla wielkiej ilości raf i kamieni podwodnych uważana jest nawet przez obeznanych z nią krajowców za niebezpieczną. Wolą też oni jeździć po niej raczej w czasie wielkich powodzi, kiedy poziom wody podnosi się o półtora metra conajmniej, zwłaszcza, że wtedy podróż do Szigatse trwa dwa do trzech dni zamiast czterech do pięciu w czasie normalnym.

Pomimo jednak, że obecnie stan wody był niski i że eskorta sprzeciwiała się energicznie takim

awanturniczym urozmaiceńom podróży, postanowił Hedin przepłynąć nazajutrz po dopływie Brama-putry (Tsangpo)—Dok-czu (Raga-tsangpo) do miejsca połączenia obydwuch rzek, czyli cofając się wstecz na obecnym szlaku podróży.

Jakoż nazajutrz musiał się udać Mahmud-Iza z większą częścią karawany do miejsca ujścia dopływu do głównej rzeki, podczas gdy Hedin z ludźmi i mułami, które jego składane czółno dźwigały, pojechali w górę Dok-czu. Coprawda widok, jaki się miało z drogi, hojnie wynagradzał za trudy. Jak na dłoni widać było obie rzeki, dzielące się jeszcze na pomniejszych ramiona; kołem zataczały się czarne i sine cielska gór, centkowanych gdzieniegdzie nad wodą, jak skóra tygrysa, jasnymi plamami odsypisk piaskowych. Droga spada od przełęczy górskich ku rzece tak gwałtownie, że trzeba było donajmować specjalnie ludzi, nie chcąc na złamanie karku całej karawy narażać. Dołem ciągną długim sznurem obciążone towarami osły, które stąd wyglądają jak punkty, ale mimo to wypełniają całą dolinę brzękiem swoich dzwoneczków.

Z dołu, z łódki mknącej z szaloną szybkością po wodzie inaczej się to nieco wydało. Prawdę powiedziawszy niewiele nawet było czasu, żeby się zatapiać w podziwie nad pięknosciami natury, albo szkicowaniu planów. Dok czy, w tym miejscu, gdzie się łączy z Tsangpo, składa się z szeregu wodospadów bezmała, niezbyt wprawdzie stromych i wysokich, ale zato zasianych poprostu głazami, czasem sterczącymi złośliwie nad wodą, czasem jeszcze złośliwiej ukrytymi pod jej powierzchnią. Niekiedy wprawdzie rzeka rozlewa się szerzej, toń wodna wygładza się i uspokaja, ale już zdaleka słychać jak szumi, warczy i przewala się woda na najbliższej przeprawie. Czasem zdaleka przejazd zdaje się wprost niemożliwy, tak gęsto zasypana jest cała szerokość nurtu złomami skał, ale niedarmo Tybetańczyk, który całe swe życie spędził bezmała na wodzie, kieruje łódką Hedina.

Coprawda nie widać po nim, żeby sobie moment obecny lekceważyć pozwalał. Przymrużone oczy wpija się w uciekającą mu z pod nóg drogę, zęby ściska jak kleszcze, ręce, którymi trzyma wiosła, zacisnięte tak mocno, aż przez skórę przeświecają kości palcowe. A choć brzegiem biegnie kilku Ladaków, gotowych w razie potrzeby rzucić sznury na pomoc, są momenty, kiedy Hedin szepcze sobie po cichu: szczęściem będzie, jeśli się uda; w najgorszych miejscach słychać, jak dno łodzi trze się złowrogo o skały, Ladacy podnoszą z przerażeniem ręce do góry—i po chwili jest się znowu na spokojniejszej wodzie. Jeszcze kilka momentów krytycznych, dalej miejsce, gdzie już nie było żadnej możliwości przejechać i trzeba



było łódź przenieść w rękę, jeszcze jeden olbrzymi głaz, pod którym tworzy się wir tak silny, iż o mało co łodzi nie wciągnął i oto jest się na szerokich, potężnych wodach Bramaputry, w które wbiła się spieniony, zdyszany Dok-czu.

Teraz, kiedy jest się już po pełnej emocji prawie, dają się nawet panowie z eskorty namówić do małej przejażdżki po rzece; kwestya to zresztą zwykłej przyjemności z wszelkiem wyłączeniem niebezpieczeństwa, kwestya poprostu nabrania apetytu do uczy, która się składa z jaj na twardo, zimnego ptactwa i mleka. Potem, że już zmrok zapada, trzeba się, choć bez chęci, zbierać w drogę, bo tu miejsce jest tak puste i tak wszelkiej roślinności pozbawione, że Mahmud Iza nagli do poszukania innego. Idzie więc przodem Rabsang, trzymając każdą ręką jednego Tybetańczyka i gdy niebawem zapada czarna jak otchłań noc, zaczynają, dla ostrzeżenia idących naprzeciwno, a trochę wprost z nadmiaru dobrego humoru, który się dziś wszystkim przelewa po żyłach, śpiewać tak, aż się echo budzi gdzieś w górach. Co lepsza, oprócz echa pobudzili się mieszkańcy pobliskiej wioski, a że przeprawa była w tem miejscu niezbyt bezpieczna, wyszli długim szeregiem z papierowemi latarniami poświęcić karawanie i pomódz jej się rozłożyć.

Na drugi dzień rano to, co było w nocy niebezpieczne, okazało się tak pięknem w swojej pierwotnej dzikości. że Hedin chętnieby się go dzinami w ścielący mu się do nóg krajobraz wpa-

trywał, gdyby nie czas. który uchodził i eskorta, która czekała.

Na szczęście i dalsza droga wzdłuż brzegów Dok-czu była tak pełna różnorodności i piękna, że pozwalała prędko o poprzednich momentach zapomnieć. Przy ujściu prostopadle do rzeki spadających dolinek rozłożyły się malowniczo jedna za drugą wioski, zmieniające się jak w kalejdoskopie. Czasem skały przybierają jakieś dziwaczne kształty, to jaj olbrzymich, osadzonych mocarną ręką na ziemi. to piedestałów, czekających na posąg. Czasem znów na polerowanej powierzchni głazu wykute są jakieś napisy, albo wyobrażenie Buddy, albo poprostu biały krzyż na czarnem polu. (Są to wyobrażenia miejscowe, żaden bowiem z podróżników nie zwiedzał tych stron przed Hedinem; jak wiadomo jednak znak krzyża znany jest i poza chrześcijaństwem).

Na szczytach pagórków tu i owdzie porożrzucane ruiny—widać okolica była dawniej lepiej zabudowana i gęściej zaludniona. Ale i dziś znać w niej ruch coraz większy, znać, że jest to miejsce osiadłości mnóstwa klasztorów i droga, którą bez przerwy ciągną nabożni pielgrzymi. Tylko, że idąc brzegiem My-czu (dopływu Dok-czu) w górę, zwolna zostawia się to wszystko za sobą—ludzi, klasztory, wsie i roślinność, bo tu dla wyższego położenia, coraz trudniej się utrzymać, coraz trudniej, czy człowiekowi, czy drzewu zacząć się o twarde głązy.

(c. d. n.)

St. Th.



## KLIMEK BACHLEDA.

O Klimku Bachledzie, który świeżo padł jak rycerz na stanowisku, donosi p. Edmund Żegota Cięglewicz w „Czasie“ garść szczegółów, które jasne rzucają światło na życie tej ofiary obowiązku.

„Klimek Bachleda, góral zakopiański, był pierwszym i najznakomitszym przewodnikiem tatrzańskim, był znakomitym cieślą-budowniczym i niezrównanym strzelcem tatrzańskim. Pochodził z Bachledówki, t. j. z Kościelisk, a jako sierota bezdomny przybył do Zakopanego przed 50 laty.

Już wczesna jego młodość zaznaczyła się działalnością prawdziwie szlachetną. Kiedy w 7 dziesiątku wieku ub. wybuchła straszna cholera w kraju, ucierpiał od niej najwięcej Podhale. W Zakopanem powstał popłoch, nikt nie chciał grzebać zmarłych, bo ludzie obawiali się zbliżyć do domu zapowietrzonego: wtedy Klimek Bachleda poświęcił się raz pierwszy: od rana

do nocy grzebał zmarłych, ratował ginących i oddał przybranej gminie bardzo wielkie usługi.

Kiedy po „odkryciu, Tatr rozwinął się ruch turystyczny, Klimek odznaczył się kilku wspaniałemi przejściami. Po śmierci Maćka Sieczki i wyemigrowaniu Jaśka Wali na Węgry, Bachleda wybił się na czoło przewodników, gruntując swą sławę zwłaszcza szeregiem pochodów, odbytych z p. Januszem Chmielowskim 1898—1905 r. Jedną z przełęczy pomiędzy Łomnicą a Durnym nazwano jego nazwiskiem, a kluby tatrzańskie, polskie i zagraniczne, nazwę tę jednomyślnie przyjęły.

Klimek był w młodszych latach namiętym myśliwym na dzikie kozy i świstaki i niezrównanym strzelcem. Całymi tygodniami przebywał w niedostępnych turniach i śladem kozic odkrywał najtrudniejsze przejścia, odwiedzał sobie tylko wiadome „koliby“, schronienia skalne przed burzą i myśliwskie noclegi.



Ale wszystkie te zalety przewodnickie byłyby niczem, gdyby nie osobiste przymioty duszy i charakteru, jakie mu zjednały przyjaciół w pośród inteligencji całej Polski. Ktokolwiek był z nim na wycieczce w górach, ten musiał podziwiać niesłychany takt, uczciwość, uprzejmość i wprost niezwykłą wstrzemięźliwość tego człowieka o ciele małym, wątłym, o czarnych płomiennych oczach, których blask żywy przejawiał ducha niepośledniego. Dbłość i pieczołowitość o „gościa“ nie przeradzały się nigdy u niego w natręctwo, a humor i dowcip cięty a spokojny nie opuszczał go nigdy.

Przytem jakaś dziwnie wytworna godność osobista cechowała jego obejście. Kiedy raz wśród ośmiudniowej wycieczki zakrakło nam tytoniu i cygar, Klimek niespodzianie wyjmując ze swej torebki całą garść cygar i częstuje nas nimi: zapytany, skąd ma tyle, odpowiada:

— Ja to wiedział, że wam chybi, boście częstowali na prawo i lewo, tom nie palił, ba chował dla was, no i przydało się.

A trzeba wiedzieć, że Klimek sam lubił palić namiętnie. Tak samo było nieraz i z żywnością, o którą nie było tak łatwo w górach przed dwudziestu laty, gdyż tylu schronisk co dziś, nie było.

W r. 1888 włócił nas Klimek w dniu 6 sierpnia wraz z p. Janem Fischerem z Łomnicy wprost na północ do Zielonego Stawu Kiesmarskiego. Szliśmy po długim pochyłym zachodziku od strony Szczytu Kiesmarskiego wzdłuż turni niemal prostopadłej ponad głęboką przepaścią, jakby po listwie przybitej na ścianie ukośnie: schodziło się dobrze, tylko, że w samej połowie listwa owa jest przzerwana, tak, że oba jej końce przedziela przerwa mniej więcej metrowa; przeskoczyć niebezpiecznie, bo się niema gdzie rozpędzić i po skoku osadzić na miejscu nie łatwo, a nadto skała odpycha. Klimek wsunął się tedy w tę przerwę i rozkraczwszy się pomagał uczestnikom jedną ręką, ale w jednej chwili kietznął, zadrgał i zaczął się sunąć w przepaść. Było niepodobieństwem pomódz mu w jakikolwiek sposób, gdyż niestety lin wtedy nasze taternictwo nie znało jeszcze: w niemem przerażeniu patrzyliśmy na te okropne sekundy, jednakże Klimek nie stracił przytomności, wbił „pazdury“ w jakieś szczelinki chropowate, urwał dwa paznokcie, ale wydarł się z czeluści. Stanąwszy, popatrzył na okrwawione palce i rzekł łagodnie, niemal żartobliwie:

— Eh, wiecie panie, co wam powiem, to wam powiem, ale wam powiem, co mi myślał, że mnie już Anieli sdejmują.

I nie zdjęli wtedy nikogo Anieli, przeszliśmy to fatalne miejsce szczęśliwie, lecz w kilka lat później zabił się tam właśnie Władysław Lustgarten z Krakowa.

A jednak Anioł Klimka Kachledy czekał na niego jeszcze całych 22 lat. Cekał i przyszedł o tej samej godzinie, dniu i miesiącu i zdjął, ale z innej turni i w innej Tatr stronie. Zdjął go z turni szczytu Jaworowego, w chwili, kiedy stary, bohaterski Klimek niość pomoc zaginionemu, kiedy straszna i potężna „kurniawa“, sypiąca śniegiem, gradem i ulewą zaciemniła świat cały, kiedy najmężniejsze serca ratowników zwątpiły, w ratunek i kiedy wódz wyprawy dał hasło odwrotu by nie narażać na śmierć pewną swą drużynę. W chwili, kiedy się wszyscy cofnęli, rzekł do siebie stary, bohaterski Klimek: „Tam żywy człowiek czeka ratunku“ i sam jeden ruszył pomimo strasznej wiejby, pomimo 62 lat, pomimo schorzałego i wątłego ciała. Tam czekał jego Anioł, który go zdjął nareszcie z turni życia ciężkiego, a ofiarnego aż do bohaterstwa.“

Przytoczyliśmy te wspomnienia z rozmysłem nie dla czezej ciekawości tylko, ale z głębokiem przeświadczeniem, że za tę cichą, ale niezłomną ofiarę ze swego życia społeczeństwo jest względem Kiimka Bachledy w długu. Względem niego i tych, których pozostawił po sobie, rodziny nie opływającej w dostatki. Jak się z długu tego uiszczyć wskazuje odezwa Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie, którą poniżej przedrukowujemy, pisząc się na nią w całości i bez zastrzeżeń, a przypuszczając, że reszta pozostała po wmurowaniu tablicy pójdzie właśnie na dobro pozostałej rodziny.

„Dnia 6 sierpnia na Małym Jaworowym zginął bohaterską śmiercią Król przewodników tatrzańskich, Klimek Bachleda,—zginął oddając swe życie na usługi Ochotniczego Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego, chcąc ratować jednego z kolegów naszych ś. p. Stanisława Szulakiewicza, przez nieszczęśliwy wypadek przykutego do turni, z której nie sądzonem mu już było zejść żywym.

Czujemy głęboką wdzięczność i cześć dla ś. p. Klimka, który nie zważając na swój podeszły wiek jeden z pierwszych pospieszył na ratunek—i zginął jak żołnierz na posterunku.

Chcąc dać wyraz naszym uczuciom postanowiliśmy uczcić pamięć ś. p. Klimka wmurowaniem tablicy pamiątkowej, poświęconej Jego pamięci na Małym Jaworowym.

Nie mogąc sami z naszych szczupłych funduszy zdobyć się na sprawienie tablicy naszym jedynie kosztem, odwołujemy się do ofiarności społeczeństwa, dziękując z góry za każdą, nawet drobną ofiarę.

Łaskawe datki przyjmujemy w Zakopanem w lokalu Klubu, ul. Krupówki l. 51. (godz. urzęd. 5 — 7 po połud.) osobiście lub przez pocztę. W Zakopanem zajmujemy się nadto w dniach najbliższych organizacją składek“.





## Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



cz. Pomimo niezawsze dopisującej pogody wycieczkę można zaliczyć do zupełnie udanych.

□□□□□□□□□□

### Kronika Krajoznawcza.

+ W dzień obchodu Grunwaldzkiego w Krakowie otwarto wystawę widoków starego Krakowa o której p. St. Tomkowicz pisze w „Czasie” co następuje:

Wystawa godna jest wszelkiej uwagi, nawet bardzo zajmująca i nauczająca. W salce niewielkiej, pozbawionej wszelkiej dekoracji zasłużone Towarzystwo miłośników historii i zabytków Krakowa zgromadziło 200 widoków naszego miasta z lat 1800—1870. Są tam rysunki, akwarele, guasze, obrazy olejne. Są rzeczy słabsze i lepsze.

Najbardziej w oczy wpadają oczywiście obrazy olejne; więc obok typowego Michała Stachowicza (wjazd księcia Józefa na rynek w roku 1809), bardzo dobre widoki miasta z różnych stron, robione przez Aleksandra Płonczyńskiego w latach 1843—5. Wreszcie trzy spore obrazy Teodora Stachowicza (syna Michała) przedstawiające wnętrze kościoła OO. Dominikanów, takie jakie było do r. 1850, pełne ołtarzy, pomników, posągów, obrazów. Było to obok zachowanego na szczęście kościoła Maryackiego jedno z najbogatszych i najbardziej charakterystycznych wewnątrz kościelnych krakowskich. Pożar zniszczył je doszczętnie. Na czwartym obrazie malarz, naoczny świadek nieszczęścia, przedstawił chwilę, gdy płomienie zagarnęły całą tę przestrzeń, języki ognia strzelają ze sprzętów i ławek, liżą wielki ołtarz, pomniki, krzyż łuku tryumfalnego—za chwilę dokonają całkowitego zniszczenia. Ludzie u wejścia zebrawani załamują ręce, padają na kolana, niektórzy próbują bezskutecznej obrony.

Różne akwarele i rysunki przedstawiają dawne, dziś nieistniejące lub zmienione gmachy, lub ich części: kościół OO. Franciszkanów przed pożarem i zaraz po pożarze, zamieniony w ruinę, dawny pałac Wielopolskich (dziś magistrat), plac WW. Świętych ze zburzonym dziś kościołem, plac Dominikański z barokowymi fasadami domów, z których ani jedna nie doszła do naszych czasów, zburzone potem bursy uniwersyteckie przy kościele św. Piotra i średniowieczną bursę Jeruzalem, spaloną w r. 1841, na której miejscu stało Collegium novum, gotyckie podwórze biblioteki Jagiellońskiej, które było dziwnie malownicze, nim je przerobiono i do jednolitości doprowadzono około połowy dziewiętnastego wieku, rozmaite podwórza i wnętrza domów, dekoracje ich stiukowe i malarskie; grupy domów starych przy muzeach miejskich Kazimierza, partye średniowiecznych fortyfikacji miejskich z bramami i wieżami; ratusz kazimierzowski przed przebudową z drugiej po-

łowy XIX w.; wreszcie podmiejskie ogrody i swojskością tchnące domki i dworki. Dopelniają zbioru widoki placów miejskich i Wawelu z przed lat kilkadziesiąt, oraz architektoniczne plany budynków, stary plan miasta i nieco starych widoków z najbliższej okolicy: Zwierzyniec, Sikornik, Tyniec, Tęczyn i t. d.

Wszystkie to takie niedawne niby, a takie już dalekie. Momentem zwrotnym w dziejach Krakowa, był pożar 1850 r. Od niego rozpoczyna się dzieło modernizacji wyglądu miasta, reszty dokonał dość szybko rozwój ostatnich lat dziesiątków. Pewna ilość dawnych budynków padła już przedtem pod powiewem ducha nowożytnego, który za Księstwa Warszawskiego i Rzpltej Krakowskiej, zaczął „upiększać” miasto, burząc nieraz to, co stanowiło największą jego ozdobę, jak mury i wieże obrotne, przepiękny ratusz na Rynku, kościoły św. Magdaleny, WW. Świętych, św. Gertrudy, św. Sebastjana, św. Szczepana i św. Macieja. Dziś znikają z powierzchni ogrody i pełne wdzięku dworki podmiejskie. Miejsce ich zajmują koszary czynszowe, fabryki i domy wyglądające jak fabryki. Rośnie Kraków, regulują się, prostują i porządkują ullice, zyskuje na tem czystość i zdrowotność—choć i to niezawsze—ale ztracają się właściwe cechy, ginie indywidualna fizjonomia—wszystko niweluje strychulec i szablono.

+ Prof. uniwersytetu lwowskiego dr. Hadaczek dokonywał w ostatnim czasie poszukiwań archeologicznych na „Obozie” niedaleko Koszycowic (powiat zbarski).

Badania i poszukiwania, przedsięwzięte przez dra Hadaczka, dały wyniki nadzwyczajne. Prof. Hadaczek odnalazł mianowicie osadę z epoki drugiego miasta Trojańskiego (3,000 lat przed Chrystusem). Z tej epoki znana była dotychczas tylko grota Werteba w Bilczu Złotym (w pow. borszczowskim), nie licząc pewnej liczby osad dotychczas niezbadanych systematycznie.

W ziemi zachowało się na przestrzeni kilkunastomorgowej mnóstwo piecyków okrągłych garncarskich, budowanych w trzech szeregach. W gruzach, pochodzących bądź z piecyków, bądź z budowli drewnianych, zniszczonych przez pożar, znalazło się wiele malowanych naczyń glinianych, wielka ilość figurek, przedstawiających postacie męskie i niewieście w pozie stojącej lub siedzącej, dalej figurki byków, baranów, psów, świń, a nawet konia, którego wyobrażenia plastycznego z tej epoki nie znano.

Uwagi godne są także liczne kamienie, jak: topory, noże, gładziki (z krzemienia). Znalezione też fragmenty figurki kościelnej i naramiennik spiralny brązowy. Oryginalny jest charakter ornamentów, malowanych trzema kolorami na naczyniach; wśród tych ozdób pojawia się najczęściej motyw spirali. Niektóre naczynia ozdobione są plastycznymi motywami, głównie ucha mają kształty głów zwierzęcych.

Wskutek tych wykopalisk epoka neolityczna Europy południowo-wschodniej została bliżej zbadana, tak w sumie kulturalnych objawów, jako też i stosunków z cywilizacją grecką okresów najdawniejszych. Okazało się, że podówczas największa w Europie kultura była na tym wschodnim obszarze; na niej wyrosła następnie kultura królewska w Grecji, a także cała środkowa Europa uległa wpływom, stąd płynącym.



Przy tej sposobności prof. Hadaczek znalazł na „ściance” (łanie dworskim) koło Kołyszowiec ślady osady słowiańskiej, zniszczonej zapewne najazdem Tatarów z roku 1241. Na „Obozie” zaś koło chaty gajowego odkrył cmentarzysko słowiańskie z doby pogańskiej. W ziemi były ustawione w niewielkiej głębokości rzędami naczynia grubej roboty, zawierające spalone kości, a także trafiały się dołki pełne kości. Wobec wielkiego ubóstwa tych grobów prof. Hadaczek zanlechał ekspluatowania tego cmentarzyska.

Z początkiem b. m. prof. Hadaczek zajął się zbadaaniem cmentarzyska odkrytego w Psarach (pow. rohatyński). Przy okazji budowy drogi znaleziono tam kilkadziesiąt szkieletów, leżących ze wschodu na zachód (jeden w pozie siedzącej), przy których były bronzowe figury typów, charakterystycznych dla IV i V wieku po Chrystusie, tudzież liczne naczynia.

Prof. Hadaczek znalazł tam jeszcze 4 groby nieuszkodzone i wydobył z ziemi dwie spinki, agrafkę, kolczyk, perły z naszyjnika i jedno naczynie zbutwiałe.

W pow. łaskim, gub. plotkowskiej, jak donosi korespondent Ga z. Warsz., jest osada Żelów, zamieszkała przeważnie przez Czechów wyznania ewangelicko-reformowanego. Czesi przywędrowali tam przed stu z górą laty, a w długim okresie zupełnie się z ludnością miejscową nie zasymilizowali, zachowawszy całkowicie swą odrębność narodową. Kolonia ich znacznie wzrosła. Czechów jest obecnie w Żelowie do 5,000, gdy Polaków jest tam tylko 600 i tyluż żydów. Prawie wszyscy mieszkańcy Żelowa trudnią się tkactwem, żydzi są dostawcami materiałów surowych i przewodnikami w zbycie produkcji. Robotnik tkacz zarabia od 3 do 5 rb. tygodniowo. Ziemia w okolicy Żelowa jest urodzajna, gospodarzą na niej przeważnie Czesi. Gospodarzy Polaków jest zaledwie 15, żydów 10. Stan ogólny oświaty i kultury znajduje się na poziomie dość niskim. Jest w Żelowie jedna szkoła tylko początkowa. Żadnej czyteln, ani biblioteki niema. Z instytucji charakteru publicznego jest: zarząd gminny, sąd i kasa.

Według obliczeń podolskiego Tow. rolniczego, jak podaje „Goniec Codzienny”, przemysłem domowym na Podolu trudniło się w r. 1909-ym 10,721 osób, obrót roczny ich dosięgnął sumy 1,055,936 rb. Według rodzaju wytwórczości rękodzielniczy dzieli się w następujący sposób: tkaczy—2192, obrót—175,360 rb.; szewców—1689, obrót—353,312 rb.; garbarzy—629, obrót—181,152 rb.; hafciarzy złotem i srebrem—1203, obrót—86,616 rb.; tkaczy dywanów—247, obrót—35,568 rb.; koszykarzy—

1204, obrót—72,240 rb.; stolarzy—32, obrót—4608 rb.; cieśli—590, obrót—16,800 rb.; kamieniarzy—722, obrót 72,200 rb.; wyrabiających dachówkę i cegłę—88, obrót 8,800 rb.; garncarzy—1361, obrót—40,800 rb.; bednarzy 745, obrót—7,450 rb.; zajmujących się wyrobami ze słomy 13, obrót—130 rb.; wyrabiających sukno—745, obrót—7,450 rb. Nie wliczono tu rzemieślników większych i rękodzielników-mieszczan.

## Odpowiedzi Redakcyi.

P. J. P. w *Jakobsztadzie*. 1) Zamek w Gieranonach wznosił w początkach XVI st. Wojciech Gasztold, kanclerz W. Ks. Lit. i woj. wileński „grabia na Murowanych Gieranonach.” Zamek już w początku XIX st. był ruiną, może dlatego, że po śmierci ostatniego Gasztolda r. 1542 stanowił razem z dobrami uposażenie generała artylerji litewskiej; obecnie należy do Korwin-Milewskich. 2) Klasztor Bożogrobców w Miechowie wznosił w XII w. Jaksa z rodu Gryfów; znaczna część zabudowań klasztornych została w ostatnich czasach zburzona. 3) Wilno—Kraszewskiego można nabyć u antykwarjuszów warszawskich.

„Dobremu Polakowi”. Odpowiedź na zarzuty swoje może pan znaleźć w dopisku, jakim poglądy p. S. od siebie zaopatrzyliśmy. Oczywiście słusznem jest dążenie do oczyszczenia języka z obcych a *niepotrzebnych* naleciałości, ale idąc bezwzględnie i bez uszanowania należnych przeszłości względów tą drogą, można dojść do tego, że język klasyków literatury polskiej przestanie być dla następnych pokoleń zrozumiały. A i z tem też liczyć się warto, że tworzenie wyrazów złożonych (wkładobiorca, ciepłostan i t. d.) jest wręcz z duchem języka naszego niezgodne i nie przyczynia się ani ku jego ozdobie ani nawet ku należytej jasności. Inna jest bowiem rzecz *dyskusya*, inna zaś—*rozprawa*, co innego obejmuje pojęcie *prognostyku*, co innego zaś *wrózby*, a całkiem już zwłaszcza odmiennej jest treści *aneksya* od *przywłaszczenia*. Adres p. S. jest następujący: Wiedeń, Goldschlagstr. 80.

## NADESŁANE.

**SZKŁO, PORCELANĘ, FAJANSY i t. p.**

□ poleca: **PIERZCHALSKI**, Szpitalna 5. □

**TREŚĆ:** *Zygmunt Gloger*: „Grody Piastowskie” (z 1 ilustr.). — *Ig. Radliński*: „Z nad Atlantyku pod Alpy śladem ludzkiej pracy dziejowej” (z 1 ilustr.) (c. d.). — *Al. Janowski*: „Pierwsze schronisko” (z 3 ilustr.). — *Henryk Galle*: U źródeł Prutu (z 5 ilustr.). — *St. Th.*: „Sven Hedin w Tybecie” (z 1 ilustr.) (c. d.). — Klimek Bachleda. — Z Polsk. Tow. Krajoznawczego. — Kronika Krajoznawcza. — Odpowiedzi Redakcyi. — Nadesłane.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki — Składał i tamował Jan M. Wiśniewski. — Odbijał na maszynie Ignacy Kotasiński. — Kłize wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć**.